Rok 1898. Lwów, dnia 10. stycznia. Nr. 2.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Referendarz Hierth drżał ze strachu. Wszyscy trzej pozdrowili szefa zmięszani; Jerzy Delphin skinął niedbale głową i zdawało się, że bez zatrzymywania się chce pójść dalej. Nagle jednak zatrzymał się przed Mortensenem i zapytał z wyszukaną grzecznością:

— Panie Mortensen, pan posiadasz zapewne kilka zapałek na zbyciu?

Mortensen kręcił się, szukając zapałek, szef biura jednak, zapalił sobie cygaro z największym spokojem, podziękował i poszedł dalej.

— Z tym jeszcze jako tako nam się udało! — rzekł Hierth w swej naiwności.

— No, tego nie wiem... — rzekł Oerseth, złośliwie spoglądając na Mortensena.

— Przeklęta gęba! — mruczał redaktor.

— U Falck-Olsenów opowiadano w niedzielę, że szef biura ma być wkrótce mianowany szambelanem — rzekł Hierth, zadowolony, iż nareszcie może się pochwalić swymi stosunkami.

Nie było jednak czasu na omawianie tej nowiny. Trzech panów rozłączyło się według wskazówek Oersetha, aby się zejść znowu przy hotelu Grand, po stronie „różańcowej“.

Słońce paliło całą siłą. W wąskiem pasmie cienia, który teraz padał na trotuary, szło tylu ludzi, że trzech panów na przekór upałowi, każdy swoją ulicą, szło w pełnem słońcu. Znajomi pozdrawiali ich przelotnie, nie zatrzymując się. Widzieli, że im się spieszy, a ogromne pliki aktów robiły dobre wrażenie.

Tymczasem upał powiększał się w gmachu ministerstwa, gdzie stary Hansen siedział sam w obydwóch pokojach i kiwał się nad swym stosem aktów.

II.

W dworku sołtysa odbywał się sąd. Na brzegu drogi pocztowej, która prowadziła przez sam środek zabudowań, było pełno wyprzęgniętych karjolek, powozów, bryczek, i innego rodzaju wehikułów; bezpośrednio przed drzwiami sołtysa stała wielka kolasa, w której przyjechali z miasta naczelnik, sędzia powiatowy i wójt.

Dokoła powozu stało mnóstwo chłopaków i gapiło się; jeden za drugim, najmniejsi na przodzie, a wszyscy z rękami w kieszeniach. Dorośli rozsypali się między domy, wzdłuż drogi i na drodze przed oknami domku sołtysa. Kobiet nie było widać. Wielcy gapili się trochę mniej od małych, ale wszyscy trzymali głęboko ręce w kieszeniach.

Niektórzy stali w grupach i rozmawiali; parami wracali także niektórzy do domów, aby módz rozmawiać dalej bez przeszkody; inni stali bezczynnie przy płotach i patrzyli na morze. Wśród twarzy można było widzieć niejedną, naprężoną w lękliwem oczekiwaniu. Byli to ludzie, którzy przyszli zdaleka dowiedzieć się, jak się właściwie rzeczy mają.

Oto tam stoi mały człowieczek, z kwaśną miną, przybyły z wnętrza kraju, z Halden. Jechał przez całą noc, aby przybyć w sam czas na sąd. Jakiś handlarz koni oszukał go na bułanej klaczy. Więcej niż przed rokiem był w mieście u adwokata Boyesena, aby rozpocząć „sprawę“ — wiele błyszczących szelągów poszło na cytacje i na świadków. a tymczasem handlarz koni jeździł po świecie bułaną, Bóg wie gdzie.

Na dzisiaj jednak adwokat zapowiedział i przyrzekł mu koniec „sprawy“. Miał więc usłyszeć wyrok na handlarza koni, otrzymać z powrotem błyszczące szelągi — a może nawet klacz bułaną!

Gdyby tylko mógl pochwycić tego adwokata Boyesena! Przez całe przedpołudnie stał na warcie przed domem sołtysa; ale swego adwokata nie widział na oczy.

Ludzie zachodzili i wychodzili, aby porozmawiać z naczelnikiem, zapłacić wójtowi podatki, albo też zapytać się o poradę sędziego powiatowego. W ten sposób minęło przedpołudnie, zbliżała się godzina południowa. Ludzie znikali wśród

domów, wyciągali przyniesione z sobą zapasy żywności i jedli stojąc, zwróceni ku morzu, albo też siedząc w szeregach nad rowem.

Od czasu do czasu wychodził jeden z pisarzy przed drzwi i wywoływał nazwisko. Ludzie odwracali głowy i powtarzali nazwisko, dopóki wołanego nie znaleziono w jakim kącie. Wywołany zbliżał się lękliwie, pisarz się niecierpliwił, a wiatr rozwiewał mu wdzięcznie ufryzowane włosy i dął mu prosto w twarz.

Na wielkim kamieniu pod płotem siedział człowiek, cokolwiek odsunięty od innych. Zdjął kapelusz i zamyślony patrzył na morze. Był to silnie zbudowany, niezwykle wysoki mężczyzna, trochę przygarbiony wskutek roboty przy ziemi i mieszkania w niskiej chacie. Twarz jego była surowa, rysy grube, włosy i wielka broda gęste, kędzierzawe, krzaczaste i czerwone jak ogień. Wyglądał jak Buszman; jedno tylko miał przyjemne w swej twarzy, a to, parę poczciwych, jasnoniebieskich dziecięcych oczu.

Z jednej z najbliższych grup podszedł ku niemu mężczyzna i pozdrowił go.

— Dzień dobry Njaedel!

Njaedel odwrócił cokolwiek głowę i jej skinieniem odpowiedział na powitanie.

— Dobrze, że cię dzisiaj spotykam — rzekł pierwszy — możemy pomówić trochę o łozinie, a może też usłyszymy co inni ludzie o tem mówią.

— A co mnie obchodzą inni ludzie, Soeren! — odparł Njaedel — gdybyś był innych ludzi pozostawił w spokoju, nie stałbym tu dziś przed sądem na szyderstwo i pośmiewisko!

— Musimy się już na to zgodzić, że to, co zbroiliśmy w ciemnościach, stanie się jawnem, skoro to budzi niezadowolenie w gminie.

— Jakie tam niezadowolenie! Jeżeli każdy trzyma się dobrze, to nie ma niezadowolenia!

— Niezadowolenie przyjść musi... ale biada człowiekowi...

Njaedel powstał w całej swej wysokości i przerwał mu krótko:

— Co mi obiecałeś powiedzieć o łozinie, Soeren?

Soeren Boerevig był to długi, naprzód pochylony mężczyzna z gładko przyczesanymi, żółtymi jak słoma włosami i z białemi rzęsami. Mówiąc, patrzył na każdego z podełba i zacierał sobie ręce.

— Kopiesz wielki rów do morza, Njaedel?

— Tak, kopię.

— I dojdziesz z nim w końcu do łoziny?

— Idę wzdłuż miedzy obok mej roli.

— Tak, robisz tak — rzekł Soeren i spojrzał z ukosa na drogę — ale i tobie nie podobałoby się zapewne, gdyby ktoś obcy werznął ci się w twoje pole.

— No, niech ten się strzeże!

— Tak, widzisz, Njaedel, jakże ja mam się dostać do łoziny, skoro ty rów wykopiesz? Czyś ty o tem pomyślał?

— Ty? Ty wcale nie powinieneś dochodzić do łoziny! Nie masz tam nic do roboty!

— Hm, hm!.. — uśmiechnął się Soeren — masz gębę nie od parady, Njaedel! Miele, jak cierlica!

— Nie prędzej, jak potrzeba i jak za to odpowiadać mogę.

— A czyż u licha nie przynosiłem sobie stamtąd łoziny i trzciny, od czasu jak mam Boerevig?

Tak, robiłeś tak, Soeren — odparł Njaedel po chwili namysłu — i jak mi się zdaje, to czyniłeś jeszcze wiele innych rzeczy, których nie powinieneś był czynić.

— A czy ty sądzisz, że to uchodzi zamykać drogi, będące w używaniu kogoś innego z dawien dawna? — zapytał Soeren łagodnie. — Przecież tego nie myślisz, Njaedel?

— Posiadam moje kontrakty kupna, posiadam... a te są dobre i prawdziwe... Kupiłem dobra kościelne i płacę moje podatki biskupowi z Christiansandu. Ale w nich nie ma ani słowa o tem, żeby ludzie z Boerevigu mieli prawo przechodzenia przez moje pole... I dlatego myślę, że kopię sobie rów tam, gdzie mi się podoba.

Po tych słowach zaczął Njaedel iść ku domom.

— Ale ta łozina, ta łozina!.. — dorzucił Soeren Boerevig i zacierał ręce jeszcze silniej.

— Kruszec jest w górach, łozina w wodzie. Nie posiadasz gór, to nie posiadasz kruszcu, nie posiadasz brzegu, to nie posiadasz także łoziny. To chyba dla ciebie jest jasnem, Soeren! Jesteś przecie taki przemądry!

— A jednak... a jednak!.. — zaczął Soeren na nowo — musimy dzielić pomiędzy siebie dary boże... Jesteśmy przecież wszyscy braćmi...

— Twym bratem nie chciałbym być, Soeren, nawet za dwieście wielkich fur łoziny — odparł Njaedel i spojrzał z góry na Soerena.

— Tak, tak, Njaedel! W takim razie udamy się na drogę prawną — rzekł Soeren łagodnie — pomówię z adwokatem Toftem, skoro tylko tu przyjedzie.

— Zrób tylko tak, Soeren; posiadam moje kontrakty kupna! Tak! — odparł Njaedel i poszedł dalej.

W środku drogi zebrał się tłum dokoła dopieroco przybyłego powozu. Człowiek, który z niego wysiadł, był mały i gruby, o czerwonej twarzy, z siwawą brodą i w czapce futrzanej.

— Wie tu kto — zapytał się tłumu — do którego łajdaka należy ten kawałek drogi z Boerevigsgrind do Svartemoor? Miałbym ochotę pogadać z tym człowiekiem na serjo!

Nikt tego nie wiedział; jakiś tylko starzec zapewniał:

— Tak, naczelnik ma rację; gorszego kawałka drogi nie można znaleść na całem wybrzeżu!

— Drogi!.. — oburzył się naczelnik. — Przysięgam na duszę moją, to nie droga, to jakiś moczar z wielkimi kamieniami; patrzcie tylko, jak wyglądamy! — i przytem wskazał na siebie, na konie i na powóz. Wszystko miało na sobie szare plamy rzadkiego błota.

— Pan naczelnik powinienby się poskarżyć u sołtysa — rzekł ktoś.

— Tak, gdyby się to tylko na coś przydało! — rzekł naczelnik i podrapał się po głowie, zsunąwszy trochę futrzaną czapkę.

W tej chwili spostrzegł Njaedela Vatuemo, który spoglądał na niego z pewnej odległości. Naczelnik mrugnął na niego.

Jeden z pilotów wziął konia naczelnika. Ten zbliżył się do Njaedela i szepnął:

— Znajduje się w najlepszym stanie, na pokładzie..

— Dostała dobre miejsce? — zapytał Njaedel.

— Doskonałe, stary! Zupełnie jak na amerykańskim statku, chociaż to tylko druga klasa. Jutro wieczorem będzie w Chrystjanji.

— To głupio, że przyjedzie tam wieczorem; oby ją tylko Anders znalazł.

— Trzeba ci wiedzieć, Njaedel, że w twojem imieniu telegrafowałem do swego brata, aby wyszedł po Krystynę do przystani.

— Nie, co ci też przychodzi do głowy, naczelniku! — rzekł Njaedel. — Drogo kosztowało?

— Właśnie koronę.

— Nie mogłeś dostać taniej?

— Nie, stary. To stała taksa.

— No tak, stało się w każdym razie dobrze — zauważył Njaedel i zaczął szukać korony. — Serdeczne dzięki, naczelniku.

— Nie ma za co dziękować. Byłeś już przed sądem, Njaedel?

— Nie jeszcze. Powiadają, że nic z tego nie będzie przed południem.

— Masz co do jedzenia?

— Nie, nie było nikogo w domu, ktoby mi mógł zgotować — odparł Njaedel krótko.

— Hm, to prawda — mruknął naczelnik — chodź, pójdziemy do pilota Tobjasza i każemy sobie dać coś zjeść.

Tłum rozstąpił się i pozdrowił naczelnika pilotów, podczas gdy na długiego Njaedela, który szedł za nim, nikt nie zwracał uwagi.

Zdawało się, iż deszcz zaraz zacznie padać. Łany piasczyste daleko na morzu, wyglądały zupełnie ciemne, a woda była szara z białą pianą.

Świeży wiatr południowo-zachodni powstał, a wielkie okrągłe kamienie na brzegu zmywała fala, to posuwając się naprzód, to cofając, ciągnąc za sobą długie pasma szlamu. Od brzegu wznosił się pagórek ku ściśniętym w rzędzie dworkom.

Między domami znajdowały się wązkie, brudne dróżki, kupy gnoju i nieczystości; widły, zardzewiałe pługi, kawałki kory i resztki narzędzi okrętowych, jakie morze w ciągu lat wyrzuciło na brzeg. Przed domami znajdowały się jednak tu i ówdzie małe, wymiecione miejsca, na których schodzili się ludzie i siadali albo na schodach, prowadzących do domu, albo też na kamieniach do ostrzenia kós i noży, umieszczonych w ścianie.

Chociaż był to jasny dzień w środku lata, jednakowoż nad całą naturą ciężyło coś ponurego, przygniatającego. Niebo zwisało ciężko z swemi szaremi chmurami, a i morze lśniło jakąś szarą barwą. Również i czerwonawo-brązowe, smołą pociągnięte domki, które ze swemi białemi ramami okiennemi, firankami i doniczkami kwiatów mogły tak przyjaźnie błyszczeć w świetle słonecznem, wydawały się ciemne i przygniecione pod tem światłem, podczas gdy na biało malowany dom sołtysa wyglądał dziś smutny i blady.

Zwarte grupy chłopów odpowiadały temu nastrojowi. Wszystkie te grube, ciemno-niebieskie wełniane kamizele, koszule i szale na szyjach, potęgowały tylko ciśnienie, które ciężyło nad wszystkiem. W grupach nie było śladu życia; ten wlókł się tu, ten ówdzie; tam pozdrawiano się mruczeniem, nie patrząc na siebie wzajemnie, wyciągano wielkie, wilgotne ręce i dotykano się niemi wzajemnie, ale bez uścisku, sztywnymi palcami, jak to uważanem jest za rzecz elegancką. Żadnego wykrzyku, żadnego głośnego słowa, nie było słychać, nie mówiąc już o śmiechu. A nad tem wszystkiem unosiła się woń wełny owczej.

Punktualnie o pierwszej zamknięto rozprawy przedpołudniowe, a podczas gdy salę sądową zamieniano w pokój stołowy, urzędnicy i adwokaci chodzili przed domem tam i z powrotem, palili cygara i rozmawiali.

Kilku chłopów, którzy znaleźli odwagę po temu, trzymało się w bliskości swych adwokatów; ten mały tylko, z kwaśną miną z Halden, nie mógł sam jeden znaleść swego. Sędzia Hierth jednak, który był bardzo uprzejmy i łaskawy, przechadzał się między ludźmi i uważał, kto mu się kłania.

Tu i tam, jeżeli twarz wydawała mu się znaną, przystawał i wymawiał kilka zachęcających słów; ręce trzymał z tyłu na plecach pod połami surduta, aby nie potrzebował podawać ich byle komu do uścisku.

Sołtys i jego parobek prowadzili właśnie jakiegoś aresztanta przez podwórze; dla pewności założono mu łańcuszki, gdyż areszt wiejski nie był zbyt bezpiecznym, a zresztą tak było wygodniej dla straży.

— Zna tu kto tego człowieka? — zapytał sędzia Hierth.

— Tak, panie sędzio, pochodzi on Krydsvigu — odparł naczelnik pilotów, który właśnie wyszedł z jednego z domów.

— Dzień dobry, panie naczelniku pilotów, Seehusie! — rzekł sędzia i uznał go godnym podania mu dwóch palców prawej ręki. — Pan znasz zatem delinkwenta? Kradzież prawdopodobnie?

— Tak. Biedaczysko włamał się do sklepu handlarza wiejskiego i ukradł worok mąki i dzban syropu.

— To zwiększanie się kradzieży — rzekł sędzia Hierth surowo, i spojrzał po ludziach — budzi obawy. Zdaje się to stać w związku z innymi złymy wpływami, na ktore lud nasz jest niestety w naszych czasach wystawiony. Czy winny znajduje się w złych stosunkach? Wielka rodzina? Wiele dzieci?

— Wiele i małych, jak knedli na patelni, panie sędzio! — odparł naczelnik.

— Knedli? — zapytał sędzia i obejrzał się dokoła.

Adwokat Tafte, który zawsze trzymał się w bliskości sędziego, gotów na jego usługi, rzekł z przymilającym uśmiechem:

— Przepraszam, panie sędzio, jestto rodzaj klusek z kartofli.

— Ach, kluski kartoflane! — mruknął sędzia łaskawie i poszedł dalej między grupy.

Ludzie spoglądali po sobie; ten lub ów ściągał usta w jakiś grymas, gdy sędzia się odwracał. Ogólnie jednak podziwiano w najwyższym stopniu naczelnika pilotów za jego swobodne zachowanie się wobec wielkich; zajmował on, rzec można, stanowisko pośrednie.

Laurenty Boldeman Seehus był synem pijanicy, urzędnika cłowego w Flekkefjord. W młodości poszedł na morze, gdy się jednak postarzał, kupił parcelę Krydsvigu, wybudował sobie dom, z którego mógł każdego czasu patrzeć na morze. Mianowano go naczelnikiem pilotów.

Seehus mógł mieć około sześćdziesięciu lat. Był nieżonaty, pół żeglarza, pół chłopa. Ze swoimi przełożonymi znajdował się w nienajlepszych stosunkach. Sędzia Hierth uważał go niemal za niebezpiecznego, ponieważ pomimo swego urzędowego stanowiska różnił się niewiele od zwykłego chłopa, przez co bardzo łatwo mógł ponieść szkodę respekt, jaki miał stan włościański dla urzędników.

Tymczasem Seehus sprawował swój urząd i cieszył się wśród chłopów pewnem poważaniem, tak, że mało było widoków przeprowadzenia jego usunięcia. On sam nie miał najmniejszego pojęcia, iż ktoś może mieć coś przeciwko niemu. Swobodne zachowanie odziedziczył z morza, a jeżeli sędzia zaszczycał go tylko dwoma palcami i chłodnem spojrzeniem, to w swym niewinnym podziwie myślał, że sędzia Hierth jest eleganckim człowiekiem.

Najbliższym sąsiadem kapitana pilotów był Njaedel Vatuemo. Właściwie był on obcym na wybrzeżu; pochodził z gór. Jednakowoż, przez kilka lat z rzędu dworek jego nawiedzało osuwanie się skał, a w rezultacie, pewnej wiosny zwaliła się lawina kamienna, która swą pracę wyko-

nała gruntownie tak, że Njaedel w jednej jedynej koszuli tylko znalazł się na grupie skał, a dom ze wszystkiem, co się w nim znajdowało, zsunął się w szalonym pędzie w przepaść. W gruzach znaleziono bez życia jego żonę i dwoje dzieci, w najstarszej córce tlała jeszcze iskierka życia.

Wtedy uważał Njaedel za rzecz najstosowniejszą opuścić rodzinny dworek Vatuemo. Sprzedał to, co lawina pozostawiła do sprzedania i wyniósł się na wybrzeże.

Njaedel nie przyjął nowego nazwiska według swej nowej siedziby, jak to było zwyczajem. Kupił część tej samej posiadłości, której parcela była już własnością Seehusa.

Krydsvig — były to wielkie dobra „martwej ręki“ należące do biskupstwa chrystjańskiego. Njaedel przyniósł z sobą z gór pociąg do samotności i wybrał sobie dlatego najniżej położony kawałek, zupełnie przy samym brzegu, do którego należał także wielki, rozległy plac, nieużytek nie do obrobienia.

Njaedel mieszkał sam ze służącą i córką Krystyną przez szereg lat, uprawiał pole i zaoszczędzał trochę grosiwa. Jego jedyny towarzyski stosunek ograniczał się na naczelniku pilotów, który do dobrodusznego olbrzyma i jego przystojnej córki przywiązał się serdecznie i szczerze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAINY WRAŻEŃ.

I.

Widzę obok postać Twoją, widzę twarz tak dziwnie miłą.
Dwa bezmiary są koło mnie: duch Twój i toń morza sina;
Serce czuciem, co ogarnia cały świat, zabiło —
Ach, coś mi się przypomina!

Jakiś żywot przedświtowy, jakieś państwo bytu senne,
Kiedy duch mój niewcielony, — śniący słodko jak dziecina,
Był z tych blasków, co nad czołem Boga drżą promienne —
Ach, coś mi się przypomina!

Jakaś chwila, gdy blask z nieba padł na ziemię iskrą małą,
Chwila wielka, gdy zastygła w pierś człowieczą marna glina
I to serce bólem świata pierwszy raz zadrżało,
Ach, coś mi się przypomina!...

Jakaś istność skrzydlata
W drobnej ciałka obsłonce,
Jakaś pełna tęcz chata,
Gdzie snem kwiatów na łące
Dni się zdają i lata,
Gdzie dziecięciu, co drżące
Szyję matki oplata,
Pierś jej — środkiem jest świata,
Niebem — serce gorące...
I tak lekka, skrzydlata
Istność w ciałka obsłonce —
Zda się, sama ta chata
W jakieś sfery grające
Aż do nieba ulata,
Aż do nieba, aż w słońce.

Ach, coś mi się przypomina!

Wspomnienia, sny, jak lekkie mgły,
Gdy w obłok się rozwiną,
Z dziecinnych lat tu za mną w świat
Powiały mar drużyną.

I owiał mnie, jak gdyby w śnie
Widm drogich cały cmętarz
I z bladych warg chór płynie skarg,
Chór pytań: — „Czy pamiętasz?

Wszak dobrze znasz tę każdą twarz,
Te rysy drogie tobie?..
Jak blady brzask tych oczu blask
Przyświeca nawet w grobie!“

I widma te, owiane w mgłę!
„My twoi!“ — szepcą zgrają —
I głos ich drży, ich ciche łzy
Na serce mi padają...

Ach, coś mi się przypomina!
Coś łka w duszy, coś się łzawi,
Jak słowicza pieśń nad strzechą,
Jak daleki płacz żórawi,
Jak echo!..

II.

Głos twój słodki harmonijnie aż w głąb duszy mej uderza,
Dwa akordy pieśni świata budzą serca mego ciszę;
Dźwięk słów Twoich melodyjny i szum fal pobrzeża,
Co ja słyszę, co ja słyszę!

Jakieś cudne, nieskończone, niby sfer niebieskich granie,
Gdzie napięty niby struna wśród bezmiaru światów wiszę
I drgam tonem harmonijnym w tonów oceanie —
Co ja słyszę, co ja słyszę!

Jakiś cichy głos niewieści, co nad głową moją szepce,
Kołysanki pierwszej nutę, co spłynęła w me zacisze
I płacz pierwszy, którym rzucił ziemi — mej kolebce —
Co ja słyszę, co ja słyszę!

Jakby skrzypek tu jęki,
Jakby grali anieli
Najpiękniejsze piosenki
U wezgłowia pościeli
Gdziem spoczywał maleńki,
Gdzie głos matki mej — w bieli,
Pełen słodkiej podzięki,
Jest najmilszym z kapeli
I słowicze ma wdzięki;

Jakby grali anieli
Najpiękniejsze piosenki
I tak duszę weseli,
Że drży nakształt lirenki,
Że na tony się dzieli,
Że rozwiewa się w dźwięki...

Co ja słyszę, co ja słyszę!

Z krainy snów chór cały znów
Przebrzmiałych głosów leci,
Chór jęków tych, co dawno zciehł,
Jak w grobie skarga dzieci.

Znam każdy głos: tak dzwoni kłos,
Gdy niwom wiatr zaśpiewa,
W tak tęskny szum jesiennych dum
Jesienne biją drzewa.

Tak płakał dzwon rodzinnych stron
Nad ojca mego trumną,
Tak modlitw szmer do nieba sfer
Wiał z chaty skargą tłumną.

I w duszy drży minionych dni
Pieśń, dawno już skończona,
I w oku łza, a serce łka,
Łka pieśnią tą wśród łona...

Co ja słyszę, co ja słyszę!?..
Coś, co w duszy mej się żali,
Jak szum sosen ponad strzechą,
Jak dalekie szmery fali,
Jak echo!..

Józef Stanisław Wierzbicki.

POWIEŚĆ ANGIELSKA*)

Literaturze angielskiej piśmiennictwo nasze znacznie mniej poświęca miejsca i czasu, niż innym literaturom zachodu. Wogóle objawami życia literackiego na zachodzie zaprzątamy się dość dorywczo i to wtedy, gdy przypadek, moda, albo jakaś donośna trąba reklamy zwrócą naszą uwagę na tę lub inną jego stronę; w każdym jednak razie w zainteresowaniu się naszem literaturą bieżącą francuską i niemiecką, a jak ostatniemi czasy i skandynawską, więcej widać systematyczności i mniej przypadku, podczas gdy angielska, zupełnie jest oddaną na jego łaskę.

Z współczesną powieścią angielską naszemu ogółowi czytającemu bezpośrednio obznajmiać się trudniej, niż z innemi, z powodu małej znajomości języka; musi więc poprzestawać na przekładach nielicznych. Tłómacze zaś, najczęściej bez należytego pojęcia o całej twórczości danego autora, rwą z niej na chybitrafił to, co im przypadek pod rękę rzuci. W ten sposób pomijane są utwory najlepiej charakteryzujące twórczość danego pisarza, będące niezaprzeczoną miarą jego talentu, a rozpowszechniają się utwory, mające wartość tymczasową. Jeżeli kiedyś przyjdzie u nas z kolei moda na powieść angielską, to wówczas się przekonamy najlepiej, ile prawdziwie wybitnych dzieł pominęliśmy zupełnie, dając pierwszeństwo małoznaczącym. Wspomniana praca p. Jasieńskiego już teraz przygotowuje nas do niespodzianek, jakie w tej mierze oczekują nas w przyszłości.

Zanim o pracy tej sąd swój wypowiem, chciałbym nieco słów powiedzieć od siebie o powieści angielskiej wogóle. Głównie chodzi mi o jej wpływ na powieść wszechświatową. Wpływy te zaczęły się oddawna i decydowały nieraz w sprawie wyrabiania się nowych form i rodzajów powieściowych. Pominę znakomitego Daniela Defoe, jednego z pierwszorzędnych genjuszów ludzkości, którego znana wszystkim powieść *„The surprising adventures of Robinson Crusoe of York“* (1722) wytknęła drogę powieści naszych czasów i zwrócę się do tych, którzy popchnęli ją na tory, jakiemi dzisiaj jeszcze kroczy. Pierwsze miejsce należy się tu takim pionjerom, jak: Richardson, Goldsmith, Fielding, Stern itp., którzy w połowie XVIII w. stworzyli powieść właściwą, będącą sumienną historją życia codziennego, prostego, szczerego i naturalnego, wyzwoliwszy ją z więzów, narzuconych jej przez wymuskaną, afektowaną i wymuszoną literaturę francuską XVII. i XVIII. wieku.

Tchnące prostotą, rzewne obrazy powszedniego bytu, kreślone zrównoważonem piórem Richardsona i Goldsmitha, uczyniły z powieści rodzaj literacki najbardziej popularny, najbardziej demokratyczny, przemawiający językiem myśli i uczuć dostępnych szarej masie. Powieść ze strzyżonych i koślawionych ogrodów, z buduarów wonnych i „barokujących“, z dusznych salonów z ich marjonetkami upudrowanemi, tańczącemi menueta, wyszła na niwy i łąki, usiane pachnącem kwieciem, zagarnęła te przestrzenie życia, na których żyli ludzie o instynktach zdrowych, bezpośrednich, ludzie natury. Ckliwemi wydają się nam dzisiaj „romanse moralne“ w guście „Pameli“ i „Clarissy“, albo w rodzaju poczciwego „Wikarego Wakefildzkiego“, bez nich jednak, nie mielibyśmy rewolucjonizujących twórczość ludzką utworów J. J. Rousseau, ba, nawet Chateaubrianda. Powyższym potężnym i pogodnym twórcom zawdzięczamy z wielu względów przełom, który na schyłku XVIII. w. odbył się w beletrystyce całego świata. Obok odnowicieli romansu obyczajowego postawić można kilku niezrównanych humorystów angielskich XVIII. w., a na ich czele Fieldinga, którzy nowym, żywotnym pierwiastkiem zasilają wytwórczość powieściową. A czyż mamy potrzebę wspominać o tym bodźcu, jaki powieść historyczna otrzymała od Walter Scotte'a? Bez niego nie mielibyśmy, być może, ani Bronikowskiego, ani Bernatowicza, ani H. Rzewuskiego etc., że pominiemy jego wpływy ogólne.

W wieku XIX powieść powszechna otrzymuje nie mniej od powieściopisarzy angielskich. Dwa wielkie imiona, Dickensa i Thackereya wystarczyłyby, gdyby innych jeszcze nie było, ażeby wpływom powieści angielskiej na powszechną, zapewnić poczesne miejsce. Prawdziwy humor, polegający na równo-

*) A. M. Jasieński, Współcześni powieściopisarze angielscy (Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allen i T. Hardy). T Paprocki, Warszawa 1897.

wadze szczytnych i komicznych pierwiastków życia, kojarzący smutne i wesołe oblicze istnienia ludzkiego, wielki humor obejmujący całego człowieka, od tych mistrzów pochodzi. Nasz wielki humorysta, Jan Lam, przyznawał się szczerze do tego, że niejedno natchnienie swoje zawdzięczał tym Anglikom.

Kierunek naturalistyczny obowiązany jest również nie mało twórcom Albionu. Dość tu wymienić imię znakomitej powieściopisarki George Elliot (Evans). Naturalizm Zoli zasłonił nam trochę oczy na kierunek powieściowy i, w opinji fałszywych krytyków i pokątnych lubieżników, zdyskredytował go zupełnie i nazawsze! Niechby jednak zechcieli zapoznać się z purytańskim, surowym, poważnym naturalizmem Elliot, możeby im lepiej przypadł do smaku. Naturalizm tej autorki nie odstrasza i nie oburza, pornografją nie cuchnie, ale i wzroku wstydliwie nie spuszcza. Harmonijny to i niejednostronny rodzaj.

Oddziaływanie powieści angielskiej na ogólną, dzięki wymienionym poprzednio pisarzom, było w istocie znaczne. Nie przewaga kultury angielskiej nad innemi zapewniła im to stanowisko wybitne; zawdzięczają je oni temu, że utwory ich mieściły w sobie dużo człowieczeństwa takiego, z którem łatwo było każdemu się zżyć i które wzruszało bardzo czytelnika. O najnowszej powieści angielskiej tego nie można było przez długi czas powiedzieć i w tem, być może, należy szukać powodów obojętności naszej dla niej. Powieść angielska ostatnich czasów, reprezentowana przeważnie ckliwo-dydaktycznemi romansidłami Miss Braddon, Ouidy itp., stała się dla nas synonimem nudy i sennego moralizowania. O powieści angielskiej zapomnieli czytelnicy nasi i dopiero przetłómaczenie kilku bardziej oryginalnych autorów, jak: Kipling, Hardy, Corelli, Besant, Ward itp., których utwory dawały więcej treści żywej i poruszającej uczucia ludzie, znowu obudziły stalsze zainteresowanie się nią wśród wydawców i czytającego ogółu.

Autor książki o „Współczesnych powieściopisarzach angielskich" zamierzył dać nam obraz obecnej twórczości powieściowej w Anglji, objął bowiem swojemi szkicami co wybitniejszych autorów. Dwa następne tomy poświęci autorkom współczesnym i znanym powszechnie autorom, jak: Barrie, Meredith, Besant itp. Obecny tom mieści cztery szkice, przedstawiające nam działalność pisarską: Hall Caine'a, R. Kipling'a, Grant Allen'a i T. Hardy'ego. Dwaj pierwsi cieszą się zupełną sympatją autora, dwaj pozostali poddani zostali dość surowej krytyce, a Grant Allen nawet uznany został za niesumiennego, który tworzy dla miłego grosza i gotów jest popierać najsprzeczniejsze doktryny i przekonania. H. Caine'a, którego Anglicy nazywają angielskim Wiktorem Hugo, p. Jasieński stawia wysoko, podnosząc szlachetność tendencji jego utworów i ich mistrzowską obrazowość. Jako stylistę stawia go na równi z Carlyle'em i Macaulay'em. Ogólną cechą utworów Caine'a jest poświęcenie posunięte aż do heroizmu. P. Jasieński streszcza kilka wybitniejszych powieści Caine'a, jak, ***Deemster***, *Bondmun*, ***Manxman*** (powieści te stanowią jeden cykl i poświęcone są życiu wyspy Man) oraz parę innych jeszcze, oddając pierwszeństwo powieści: *The Manxman* (przełożona na język polski). Autor jest zdania, że dzieła Caine'a będą analizowane przez pisarzy przyszłości, jako utwory największego powieściopisarza angielskiego z końca XIX. w., a to głównie dla tego, że jest on pisarzem narodowym i poświęcił się odtwarzaniu życia niższych warstw społecznych.

Kiplingiem p. J. również się zachwyca i zalicza go do największych chwał współczesnej literatury angielskiej. Jako nowelista nie ma on sobie równego, podług autora, na całym półwyspie; „czem dla naszej literatury są nowele Sienkiewicza — powiada autor — tem dla angielskiej są i będą „Życia przeszkody" Kiplinga". Talent Kiplinga jest pokrewny talentowi Dickensa; tak jak ten ostatni, posiada Kipling „natchnienie poetyckie i żywość uczucia, umie wlewać życie nietylko w naturę, lecz nawet w przedmioty martwe; przytem posiada w wysokim stopniu rozwinięty dar obserwacji i błyszczący dowcip". — Kipling jednakże mniej ma egzaltacji w stylu i pisze językiem bardziej prostym.

Treść do swoich utworów Kipling czerpie przeważnie ze stosunków anglo-indyjskich. Krytycy angielscy, podnosząc znajomość jego tych stosunków, powiadają, że gdyby Anglja utraciła Indje, przyszłe pokolenia nauczą się z dzieł Kiplinga, jakiemi były Indje za panowania Anglji. Mnóstwo świeżych postaci, głównie ze świata wojskowego i administracyjnego, wprowadził Kipling do literatury. P. Jasieński widzi także w Kiplingu znakomitego poetę narodowego. Kipling jako poeta stanowić będzie nową epokę w literaturze anglo-amerykańskiej, od niego bowiem datować się będzie zwrot, dążący do federacji państw, w których język angielski jest panujący; pieśni Kipling'a: „Odpowiedź Anglji", „Pieśń umarłych", „Pieśń synów", „Pieśń miast" itp. — uważa p. J. za najwspanialsze ballady patrjotyczne, jakie literatura angielska posiada.

Podczas gdy tacy autorowie jak Caine i Kipling są — podług p. J. — błogosławieństwem Anglji, takich jak: Grant Allen i Hardy, uważa on za jej prawdziwą plagę, a to z powodu kierunku, jaki reprezentują ci pisarze. Doktryną ich jest nowy ***hedonizm***, czyli etyka przyjemności bezwzględnej. P. Jasieński powiada o niej: „że dąży do przewrotu stosunków społecznych i pod pokrywką emancypacji kobiet chce rozluźnić węzły małżeńskie".

Grant Allen jedną z najgłośniejszych powieści swoich pt. „Kobieta która dokonała" (przekład polski) poświęcił apologji wolnej miłości. Niektóre opowiadania G. Allen'a *(Strange Storries* — Powieści dziwne) są wymierzone przeciwko anglikańskiemu duchowieństwu.

P. J. przyznaje Gr. Allenowi tylko rutynę pisarską, odmawiając mu talentu, Hardy'emu natomiast przyznaje wielki i oryginalny talent, będący tylko na usługach złej sprawy, bo hedonizmu. W powieściach swoich („Zdala od szalejącego tłumu", „Jud the Obscure" — itp.) atakuje autor małżeństwo, bierze w obronę jednostkę przeciwko społeczeństwu, uprawnia luźność stosunków pomiędzy płciami: słowem wspiera hedonizm i wysławia zwierzęcość Hardy — powiada p. J. — tak ma styl porywający, że pomimowoli pociąga czytelnika, chociaż treść utworów jego jest odpychająca. P. Jasieński przepowiada Hardy'emu, z powodu jego filozofji użycia, rychłe zapomnienie od którego nie uratuje go mistrzowstwo formy i olbrzymi talent twórczy.

Nie możemy się bawić w przepowiednie, zdaje się nam jednak, że autor omawianej książki zbyt gwałtownie natarł na dwóch ostatnich powieściopisarzy angielskich, nazbyt zaś wysoko pod niebiosa podniósł dwóch pierwszych, zwłaszcza Caine'a.

Znam Allena i jako powieściopisarza, więcej jednak jako przyrodnika-filozofa, który do rdzenia przeniknięty jest ideją przyrody, zbyt ceni jej prawa, dla tego radby stosunki ludzkie urządzić tak, by się im nie sprzeniewierzały. Przymus i obłuda w rzeczach uczucia jest rzeczą wstrętną i szkodliwą dla gatunku w oczach przyrodnika, stąd nienawiść Gr. Allena do tego wszystkiego, co oszpeca stosunki między dwiema płciami. Dziwi nas trochę, że p. J. występuje jako gorący rzecznik moralności oficjalnej i tak bezwzględnie staje

po stronie obecnego porządku społecznego przeciwko jednostce. To, co nazywa: „wywrotnemi dążnościami“ pisarzy w rodzaju Gr. Allen'a, Hardy'ego itp. jest niczem innem, jak tylko dalszym ciągiem walki z t. zw. *cant'em* społeczeństwa angielskiego, walki wszczętej, tak namiętnie jeszcze przez Byrona. Dużo w tem, bezwątpienia, było i jest przesady i niesmaczności, w każdym jednak razie zasada walki tej nie jest zupełnie błędną: fałsz i udana cnota trawią bowiem oddawna posępnie moralną Anglję.

Wszyscy ci zresztą pisarze — ci, których p. J. chwali, jak i ci, których gani — pomimo istotnej żywotności i hojności ich talentów, nie robią na mnie wrażenia tych, którzyby mogli porwać za sobą czytelników wszelkiego typu, wszelkich krajów i usposobień. Są naprzód zbyt lokalni, zanadto drobiazgowi i specjalnie oddani jakiejś jednej kwestji (np. emancypacji kobiet, mistycyzmowi itp.), za mało więc wyzyskują treść życia, posiadającą znaczenie i doniosłość ogólną. Prócz tego są to ludzie psuci i znieprawiani przez wydawców, którzy im podsuwają takie tematy, jakie chcą, za co płacą im bajeczne, szalone sumy (jak np. Kipling'owi za *sto tysięcy słów* tylko 1 rs. 20 kop. od słowa). Następnie, większość ich ulega żyłce nudnego moralizatorstwa i ma skłonność do zbyt pośpiesznego opuszczania ziemi dla innych planet, o których gotowi są pisać olbrzymie tomy; to nie pozwala im dobrze obserwować współczesnego życia. Są albo niedościgle podniośli i zagmatwani, albo rubaszni i płascy.

Wracając do książki p. Jasieńskiego, trzeba o niej powiedzieć, że jest przedewszystkiem: użyteczną. Autor zna dobrze literaturę angielską wogóle, współczesnych autorów również, nadto zna ich nie z drugiej ręki; prócz tego wie to wszystko, co o nich mniemają ich właśni ziomkowie, pozwala mu to opinję własną wyrabiać i kontrolować, posiłkując się materjałem bogatym, niezawsze dostępnym dla naszych przygodnych sprawozdawców.

W robocie jego znać sumienność i troskę o to, by czytelnik jaknajwięcej zdobył sobie faktycznych wiadomości o przedmiocie. Krytyki jego nie noszą charakteru ściśle krytycznego, że tak powiem. Są one bardziej opisowemi, naracyjnemi (podają treść utworów raczej, niż je analizują), niż syntetycznemi. Genezą utworów, ich wewnętrzną wartością mniej jest autor zajęty; często nadto zatrzymuje się on na cechach zewnętrznych i powierzchownie charakteryzuje. Tło społeczne, środowisko wśród którego dzieła umysłu ludzkiego powstają, prawie jest nietknięte w książce omawianej. Może z następnych tomów, z zapowiedzianego rozdziału pt. „Rzut oka na współczesną literaturę angielską“ dowiemy się o tem wszystkiem, teraz winniśmy wdzięczność autorowi i za to, co nam o mało znanej gałęzi literatury współczesnej powiedział uczciwie i umiejętnie.

Wł. Jabłonowski.

U CZIKOSÓW

(Wspomnienie z podróży po Węgrzech).

Ciąg dalszy.

Wyskoczywszy na brzeg, uporałem się właśnie z dolną częścią mojej garderoby, gdy wtem, z pośród szuwarów, doleciał mnie jakiś dziwny odgłos, jak gdyby ktoś parsknął śmiechem... Podniosłem głowę, lecz naokół znów panowała cisza; tylko trzciny, kołysane delikatnym podmuchem wiatru, uderzały z lekkim chrzęstem o siebie.

Wkrótce byłem ubrany. Płaszcz przewiesiłem przez ramię, puszkę z roślinami i tekę botaniczną przerzuciłem przez plecy, zapaliłem krótką, glinianą fajeczkę, i ruszając w drogę, zepchnąłem niepotrzebną mi już tratewkę na wodę. Ale zaledwie to uczyniłem, gdy tuż obok kołyszących się na żółtawych falach dwóch pęków trzcinowych, wynurzyły się nagle na powierzchnię dwie czarne główki dziecięce i cztery ramiona wyciągnęły się ku zielonym, uciekającym z prądem snopkom. Wywiązała się na rzece iście kocia gonitwa i walka o tratewkę. Wśród śmiechów i wrzawy, usiłowały dzieci wydostać się na trzcinowe pęki; skoro wszakże które bliskiem już było celu, drugie wnet ściągało je w wodę. Brunatne, smukłe ciało znikało na chwilę pod falą, aby wnet, pryskając wodą, z głośnym chichotem ukazać się na powierzchni. Zwisające u czarnych główek długie ogonki kos, wskazywały płeć dzieciaków... Wskutek ciągłego szarpania to w tę, to w ową stronę, rozluźniły się wreszcie więzy z sitowia, a oswobodzone przez to pęki trzciny wolno popłynęły z prądem. Tu był koniec zabawy. Dwa brunatne djabełki, ukryte po szyję w wodzie, spozierały teraz na mnie ciekawie i jakby wyzywająco swemi czarnemi, błyszczącemi ślepiami.

— Coście wy za jedne? — zawołałem z brzegu.

— Powiemy wielmożnemu panu, jak nam da po dwa krajcary! — odpowiedziały w zgodnym duecie i bez namysłu.

— Dobrze, dam po dwa krajcary. Czy mam je wam rzucić?...

— Nie... Niech je wielmożny pan wrzuci do naszych garnuszków... Stoją tam obok, w szuwarze, nakryte naszemi spodniczkami...

Znalazłem garnuszki bez trudu. Gdy dziewczęta usłyszały dźwięk monet spadających do glinianych naczyń, poczęły się śmiać i wyskakiwać w wodzie jak szalone, wołając przytem:

— Dziękujemy, pięknie dziękujemy... Mnie na imię Etelka!... A mnie — Piroska!...

— Czy jesteście z tego tam szałasu? — zapytałem.

— O nie, my mieszkamy daleko, daleko, tam, za pusztą Ohat!..

— A skądżeście się tu wzięły?

— Przyniosłyśmy ojcu obiad, a także, chleba, papryki i słoniny...

— Czemże jest wasz ojciec?

— Czikosem.

— Lecz dla czegóż nie wracacie do domu? Matka się tam pewno o was niepokoi...

— Jeszczeby też! Czekamy na ojca. Zaraz przypędzi tu stadninę aby ją napoić, a potem z nim razem wrócimy do domu.

— Umiecie jeździć konno?

— Oh, lepiej jak huzarzy!

— Chciałbym to widzieć!

— To wielmożny pan zobaczy. Zaraz tu będzie stadnina. Ot, czy widzi pan tam, tę kurzawę? Stamtąd przybywają czikosy...

Zwróciłem oczy we wskazanym kierunku. Daleko na horyzoncie wzbijała się olbrzymia, szaro-siwa kurzawa, upstrzona promieniami zachodzącego słońca w plamy złociste i purpurowe...

Kurzawa zbliżała się coraz bardziej... Pośród niej można już było dojrzeć czikosów uganiających na wpółdzikich rumakach wśród pędzącego tabunu. Długie harapy przecinały że świstem powietrze, a pod uderzeniem tysiąca kopyt drżała ziemia jakby od grzmotu. Szczekanie dużych psów owczarskich usiłujących zmusić konie w tyle pozostałe do pośpiechu, mięszało się z rzeniem łosząt i ogierów. Z rozwianemi grzywami i rozdętemi nozdrzami — wciągającemi zda się z rozkoszą orzeźwiający chłód wody, przemknęło stado koło mnie. Aby nie zostać stratowanym, schroniłem się zawczasu w gąszcz trzcin przybrzeżnych.

Dziewczęta skorzystały ze sposobności, ażeby zrobić toaletę. Ubranie ich składało się tylko z kolorowych i — aby prawdę powiedzieć — dostatecznie zbrukanych koszulek. Wybiegłszy z trzcin, przypadły ku mnie, całując mi ręce z niepohamowaną wdzięcznością. W moment później siedziały już na grzbiecie rozhukanego ogiera, posługując się jego długą grzywą jak uzdą.

W szalonym pędzie wpadł cały tabun do rzeki, aż woda spieniona wystąpiła z brzegów. Za tabunem przymknęli nad rzekę czterej czikosi w towarzystwie zziajanych psów. Ledwie że mnie dojrzały kudłate hjeny puszty, rzuciły się ku mnie ujadając zaciekle i musiałem pracować porządnie aby się moim kijem od nich opędzić. Wreszcie kilka dobrze wymierzonych razów harapa jednego z czikosów uwolniło mnie od natrętów. Skomląc, uciekły psy na bok i zajęły się pełnieniem swoich zwykłych obowiązków, polegających na utrzymywaniu w kupie rozbiegającej się co chwila stadniny, a zwłaszcza pilnowaniu, aby któremu z rumaków nie przyszła ochota umknąć po kąpieli na brzeg przeciwny.

Czikosi, nie rozbierając się wcale, skoczyli na swych biegunach wraz z całem stadem do rzeki. Szeroko odwinięte, strzępiaste rękawy ich zgrzebnych koszul śmigały jak skrzydła jakichś szarych ptaków, kiedy trzaskając z harapów zapędzali ze wszystkich stron stado.

Śmieli się przytem głośno, a i ja śmiać się wraz z nim musiałem, patrząc na dwie małe amazonki, jak stojąc na grzbiecie płynącego rumaka dokazywały z kocią zręcznością sztuk iście cyrkowych.

Pławienie tabunu trwało już z kwadrans, gdy nagle, ozwał się przenikliwie ostry gwizd i wszystkie konie, posłuszne tej komendzie, opuściły bezzwłocznie łożysko rzeki i skubiąc trawę rozsypały się wzdłuż brzegu po stepie. Młode łoszaki podchodziły ku mnie i wyciągając ostrożnie szyje, obwąchiwały ciekawie moją tekę z roślinami; pierzchały jednakowoż natychmiast do klaczy, skoro tylko podniosłem rękę aby którego z nich pogłaskać. (Dok. nast.)

Fr. W...

Wiadomości artystyczne i literackie.

Sewer Maciejowski pracuje obecnie nad popularną historją Polski. Pierwsze rozdziały: Aryowie-Słowianie są już ukończone.

„Halka“, której czterdziestolecie obchodzono 1. stycznia br. w Warszawie (przez ten okres czasu dano ją 470 razy), wystawioną została obecnie — jak wiadomo — w Lublanie z wielkiem powodzeniem. Tytułową partję śpiewała Czeszka p. Szewczykówna; Jontka p. Ivon Stoszkowicz, Chorwat; stolnika p. Fedyczkowski, lwowianin; Janusza zaś p. Noki.

Na konkurs dramatyczny im. Paderewskiego w Warszawie (odroczony do 1. lipca br.) nadesłano dotychczas 23 sztuk.

Aureli Urbański, utalentowany autor „Dramatu jednej nocy“ ukończył doskonały, dosłowny niemal przekład znanego poematu Heinego: Atta Troll, który odczytał ubiegłego tygodnia w Kole literackiem. Tłómaczenie Atta-Trolla zjednało p. Urbańskiemu ogólne uznanie. Nie wątpimy, że znajdzie się u nas nakładca, który wyda ten przekład, o wiele lepiej oddający ducha poezji twórcy Loreley, niż dawniejszy p. M. Konopnickiej.

Noworoczny numer „Kurjera Warsz.“ zawierał obok innych prac literackich, także nowelę lwowianina p. K. Rojana, autora „Szczęścia“, pt. „Podarek ślubny“.

„Goplanę“ W. Żeleńskiego, wystawiają obecnie w teatrze Wielkim w Warszawie. Jest to dla Warszawy prawdziwa cause celebre. Operą twórcy „Konrada“ dyrygować będzie p. Trombini. Partję tytułową odtworzy p. J. Korolewicz (która we Lwowie śpiewała Alinę), Balladynę śpiewać będzie p. Strassern, Alinę p. Skulska, Kirkora Myszuga, Grabca Sienkiewicz (Roland), wdowę p. Szczepkówna. Powodzenie „Goplany“ jest w Warszawie zapewnione.

Nowe powieści: Warszawski „Kurjer Codzienny“ rozpoczął druk nagrodzonej pierwszą konkursową nagrodą powieści p. Emmy Jeleńskiej pt. „Panienka“. „Kurjer Warszawski“ zaś, po ukończeniu dobrej powieści A. Konara pt. „Jesień“, drukuje historyczną powieść na tle czasów Grzegorza VII. pt. „Tjara i Korona“, pióra p. T. Jeske-Choińskiego. „Tyg. ilustr.“ drukuje śliczny obrazek St. Żeromskiego pt. „Cienie“.

Kompozytor i krytyk krakowski, p. F. Szopski, napisał trzy pieśni do słów „Preludjów“ K. Tetmajera.

H. Bahr wystawił w wiedeńskim Volksteatrze swą najnowszą sztukę pt. Josephine, w której K. Bleibtreu, autor słynnego studjum: Revolution in der Literatur, dopatrzył się plagjatu jednego ze swych dawniejszych utworów; stąd oczywiście wywiązała się ciekawa polemika literacka, której echo odbiło się na łamach pism berlińskich i wiedeńskich.

Jan Reszke wystąpi wkrótce w operze nadwornej w Berlinie, gdzie śpiewać ma Fausta, Lohengriua i Siegfrieda.

Słynny kompozytor Eugen d'Albert napisał nową jednoaktową operę pt. „Odjazd.“

„Wesele Fonsia“ znaną u nas farsę R. Ruszkowskiego wystawił z sukcesem Teatr Mały w Warszawie.

Sarasate, znakomity skrzypek, koncertuje obecnie w Niemczech z dużem powodzeniem.

„La Revue blanche“ zamieściła 12 niedrukowanych dotąd listów Schumana. Z tych siedm pisanych jest do żony kompozytora, cztery do Brahmsa, a reszta do Joachima.